

Gustaw WILCZYNSKI

Wrocław

Wilno 1939-1944

ul. Tęczowa 14/7

I/868

Urodziłem się 1 IV 1925r. w Połoczanach, w powiecie Mołodeczno. Ojciec Stanisław i matka Stanisława posiadali majątek. W 1939r. ukończyłem szkołę powszechną siedmioklasową. Miałem zamiar pójść do szkoły kadetów w Modlinie, ale stanęła temu na przeszkodzie wojna. Jeśli chodzi o pierwsze dni wojny to pamiętam jak chyba dwa razy nadleciały niemieckie samoloty i zrzuciły kilka bomb, to było tyle jeśli chodzi o wojnę z Niemcami. 17 IX dowiedziałem się o tym, że wkroczyli Rosjanie. Przyjąłem to bardzo źle. Byłem mocno zdenerwowany. Pamiętam, że trzymałem matkę za rękę i płakałem. Przyjąłem to tak jakby świat zaważył się pod mną. Rosjanie przyszedli do naszej wsi w kilka dni po wkroczeniu do Polski gdyż miejscowość, w której mieszkaliśmy była położona dość daleko od drogi prowadzącej z Wilna do Mińska. Wojsko radzieckie było bardzo wynędzniałe, źle ubrane. Żołnierze mieli karabiny na sznurkach. Przyjechali konno, lecz nie wszystkie konie były osiodłane. Stopień cywilizacji żołnierzy radzieckich był bardzo niski. Dla mnie np. było nie do pomyślenia by ordynans jadł z jednej miski z oficerem. W pierwszych kontaktach Rosjanie w zasadzie nie stosowali wymuszania, czy zastraszania. Po odejściu radzieckich jednostek frontowych wojsko wyciszyło się aż do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. Politycy zorganizowali miejscową władzę. Działo oczywiście NKWD. Z uwagi na to, że obawialiśmy się represji musieliśmy się rozdzielić w rodzinie na mniejsze grupy. Rodzina była dość liczna, dziewięcioro dzieci plus rodzice. Ja z dwojgiem starszego rodzeństwa wyjechałem do wsi Litwa, odległej o około 30 km. Mieliśmy tam znajomych i nierozpoznani przeżyliśmy w tej wsi okupację radziecką. Rodzice byli o kilkanaście kilometrów dalej we wsi Zalesie, gdzie pracowali w kołchozie. Rosjanie skolektywizowali całą ziemię i utworzyli wszędzie kołchozy. W ten sposób zdołali-

my uniknąć wywiezienia w głąb Rosji. Skolektywizowano ziemię wszystkich mieszkańców wsi. Okolica była w większości zamieszkała przez ludność Białoruską i z jej strony nie było żadnego oporu. Może było ~~zadaw~~ <sup>jaki</sup> niezadowolenie wewnętrzne, ale strach ich ogarniał był większy. Do kolchozu oprócz ziemi włączono nieruchomości, inwentarz. Część miejscowej ludności sympatyzowała ze Związkiem Radzieckim, zresztą radziecka propaganda docierała na białoruską wieś już przed wojną. My byliśmy zorientowani co do charakteru władzy radzieckiej. Już przed wojną słuchaliśmy w radiu audycji informujących o procesach. Wiedzieliśmy, że ten system nie uwzględnia praw ludzkich. Natomiast ludność wiejska nie była w tym dobrze zorientowana. Niektórzy uważali, że Rosjanie przynieśli lepsze życie. Do wybuchu wojny radziecko-niemieckiej chodziłem do szkoły. Była to szkoła radziecka, nipełnośrednia - ośmioklasowa / normalnie okres nauki trwał 10 lat/. Uczyła część nauczycieli miejscowych, przyjechali też nauczyciele rosyjscy. Językiem wykładowym był rosyjski, nie uczyliśmy się języka polskiego. Jako język opcji wykładany był język francuski. Ponadto były zajęcia z historii, matematyki, literatury, było wychowanie obywatelskie a właściwie lekcja propagandowa, w której próbowano wykazać wyższość ustroju radzieckiego, ośmieszano również księży, popów, posiadaczy ziemskich. Chciano tym sposobem miejscową ludność ustawić przeciwko Polakom. Naukę w tej szkole rozpocząłem nie w 1939r. ale w 1940r. Stosunki z miejscową ludnością białoruską układały się nam bardzo dobrze, nie było żadnych zatargów. Była to ludność bardzo serdeczna, zachowałem o niej dobre wspomnienie. W naszej okolicy mieszkał tylko jeden Żyd. W momencie wkroczenia Rosjan zachował się delikatnie mówiąc nieładnie. Na wakacje przyjeżdżał do nas z Wilna lekarz gen. Zwierzchowski i zostawiał część swoich rzeczy. Była np. czapka generalska z orzełkiem. Po wejściu Rosjan ten Żyd zerwał z czapki orzełka, nazwał go kogutem i rzucił czapkę. Reakcja ludności na wieść o wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej była jakąś szczególną. Jeden oku-

pant odchodził a drugi przychodził. Obawy przed wywiezieniem w głąb Rosji, niepewność z dnia na dzień spowodowało, że wkroczenie Niemców było przyjęte z ulgą, tym bardziej, że nie wiedzieliśmy o zachowaniu się Niemców w centralnej Polsce. Uważaliśmy ich za naród o wysokiej kulturze więc przypuszczaliśmy, że ich zachowanie wobec ludności będzie inne niż zachowanie Rosjan. Trzeba też przyznać, że na początku wyglądało to zupełnie niewinnie. Niemcy nie próbowali zastraszać ludności, wydładało to tak jakby chcieli uzyskać jej przychylność. Oczywiście nie trwało to długo. Najwcześniej ucierpiała ludność pochodzenia żydowskiego. Niemcy zaczęli wyłapywać Żydów w małych i większych miastach. Słyszało się, że tu i ówdzie dokonywano zbiorowych mordów. Zaczął się też zmieniać stosunek ludności do Niemców. W miejscowościach położonych jednak w pewnej odległości od tras przelotowych Niemcy pojawiali się stosunkowo rzadko. Wojsko stacjonowało przede wszystkim w większych miejscowościach i w miastach położonych na głównych trasach, przy kolejach. W niedługim czasie powstała partyzantka polska i partyzantka radziecka tak, że Niemcy obwarowali swoje siedziby. W nocy w ogóle nie pojawiali się poza miejscem swego zamieszkania, wypadki robili tylko w dzień. Powodowało to, że ludność wiejska nie miała takiego kontaktu z Niemcami jak ludność wiejska.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej szkoła do której uczęszczałem została zamknięta. Istniała więc obawa, że mogę być wywieziony na roboty do Niemiec. W związku z tym musiałem poszukać jakiejś pracy. Przez krótki czas pracowałem jako zwykły pracownik w mleczarni, potem przerwałem tą pracę. Kierownikiem mleczarni był znajomy tak, że czułem się tam stosunkowo bezpiecznie, ale była taka zasada, że długo w jednym miejscu nie należało przebywać. Wobec tego przeprowadziłem się do Zalesia, potem z Zalesia do Mołodeczna. Zmiana adresu potrzebna była dla zatarcia śladów, bo już miałem zamiar przejścia do oddziału partyzanckiego. Z Mołodeczna wymeldowałem się podając fał-

szywy adres w Wilnie. Następnie ze znajomym chłopakiem wyjechałem do oddziału partyzanckiego, oczywiście wszystko było już wcześniej ułożone. Mieliśmy się spotkać na stacji w Mołodecznie. Poprzedniego dnia poszliśmy na stację żeby obejrzeć jak wygląda sytuacja na dworcu. Trafiliśmy na Niemców, którzy kazali nam podlewać kwiaty posadzone wokół stacji. Po wykonaniu tej pracy mogliśmy pójść do domu. W trakcie pracy rozmawialiśmy też z kolejarzami, którzy wiedzieli o naszym odejściu do oddziału. Ustaliliśmy, że jutro przed odjazdem "naszego" pociągu zamkną nas w jednym z wagonów. Tak też się stało. Przyszliśmy bardzo wcześnie. Niosłem ze sobą nagan z trzema nabojami i lornetkę. Emocji przeżywałem bardzo dużo, bo przecież w każdej chwili mógł nas zatrzymać patrol, wylegitymować i zrewidować. Szczęśliwie dotarliśmy do umówionego miejsca. Otrzymaaliśmy od kolejarzy ~~dwa~~ młotki z długą rączką, którymi popukiwaliśmy po kołach wagonów. Jak doszliśmy do właściwego wagonu to szybko wskoczyliśmy do środka. Kolejarze wagon zamknęli. Był to wagon, który można było otworzyć od środka. Siedzieliśmy cicho. Pociąg ruszył. Odetchnęliśmy z ulgą. Przejechaliśmy kilka stacji. ~~Przez~~ Gdy dojeżdżaliśmy do wyznaczonej miejscowości pociąg zatrzymał się przed semaforem - tak to już było wcześniej uzgodnione. Wysiedliśmy, także nie spotkaliśmy Niemców, którzy pilnowali stacji. Udaliśmy się w umówionym kierunku. W napotkanym wolno stojącym domku wymieniliśmy hasło. Od razu dostaliśmy pseudonimy. Chciałem wybrać pseudonim "Wilk". Ojazało się jednak, że taki pseudonim nosi już komendant Okręgu Wileńskiego AK, więc musiałem z niego zrezygnować. "Orzeł" też już był. Ktoś mi podpowiedział, że może "Noga". Powiedziałem niech będzie "Noga" i tak zostało. Wieczorem z domku przeszliśmy do ~~młyna~~ ~~Słoa~~ ~~była~~ ~~patrolowana~~ ~~przez~~ Niemców. Musieliśmy trochę odczekać by przedostać się na drugą stronę. Przeszliśmy kilka kilometrów. Oczywiście odkrył nas zwiad partyzancki, jednak nie z tej brygady do której zmierzaliśmy. Doprowadzili nas do Grauzyszek, które były opanowane przez polską partyzantkę.

Do oddziału partyzanckiego wyruszyliśmy w połowie lipca 1943r. ~~W~~ ~~cz~~ ~~ę~~ ~~ś~~ ~~n~~ ~~i~~ ~~e~~ ~~ju~~ ~~ż~~ <sup>od</sup> około roku działałem w konspiracji przekazując informacje ze stacji kolejowej w Zalesiu a później w Mołodecznie. Chciałem bardzo walczyć z bronią w rękę więc życzenie moje zostało uwzględnione. Byłem bardzo szczęśliwy z tego powodu. Po przyJściu do Grauzyszek dostaliśmy jedzenie. W Grauzyszkach była mleczarnia i masarnia, tak że oddział partyzancki był bardzo dobrze zaopatrzony w żywność. Nie odbywało się to kosztem mieszkańców. Żywność pocodziła przede wszystkim z majątków niemieckich. Ludność wiejska zobowiązana była do odstawiania Niemcom określonej ilości żywności w ramach kontyngentów. Za wywiązanie się z dostaw w ramach kontyngentów rolnicy otrzymywali pokwitowanie. Jednak również jeżeli rolnik wylegitymował się ~~ś~~ ~~a~~ ~~ś~~ ~~w~~ ~~i~~ ~~a~~ ~~d~~ ~~c~~ ~~z~~ ~~e~~ ~~n~~ ~~i~~ ~~e~~ ~~m~~, że Armia Krajowa zarekwirowała ziarno czy mięso to w gminie odnotowywano to i uznawano, że rolnik nie może wywiązać się z dostaw kontyngentowych. Zaświadczenia takie wydawane były również gdy niczego nie rekwirowano, żeby osłonić ludność.

Po odpoczynku w Grauzyszkach, gdzie stacjonowała 8 brygada pod dowództwem "Małego" wyruszyliśmy do naszej brygady, która była rozmieszczona we wsi Kłyszki, niedaleko Klewicy, w której był szpital AK. Przyjęto nas do oddziału bardzo serdecznie. Nagan i lornetkę musiałem oddać, gdyż używali ich podoficerowie. Ja dostałem karabin, granaty zaczepne i własnej produkcji "sidolki". Nie czyniły one właściwie większej szkody, dawały jednak potężny wybuch ~~to~~ powodowało, że Niemcy brali je czasami za pociski armatnie. Nie mieliśmy polskich mundurów więc otrzymałem umundurowanie po jakimś litewskim komisarzy, które na dodatek było na mnie za duże. Na rękawie miałem jednak biało-czerwoną opaskę z napisem AK. Dostałem również hełm. Czułem się pełnowartościowym żołnierzem. Początkowo nie brano nas do żadnych akcji. Przez ~~trzy~~ <sup>miesiące</sup> trwało szkolenie jak należy zachować się w czasie ataku jak się kryć przed postrzałem, jak nacierać i posługiwać się bronią. Uczyliśmy się składać i rozkładać broń. Cwiczyliśmy też musztrę. Po kró-

tkim czasie pełniliśmy służbę wartowniczą. Mieszkaliśmy rozmieszczeni po kwaterach. Ludność przyjmowała nas bardzo serdecznie, nie obawiała się nawet represji bo w tych okolicach Niemcy już od dość dawna się nie pokazywali. Najbliższy posterunek niemiecki znajdował się w Holszanie, ale było to około 18 km. Staraliśmy się zachowywać tak by robić mieszkańcom jak najmniej kłopotów. Do konfliktów z ludnością nie dochodziło. W dzień wszystko chowaliśmy do stodoły natomiast w nocy spaliśmy w izbach na słomie. Począwszy od 1944r. oddział stawał się coraz liczniejszy. Miejsce postoju zmieniano gdy zachodziła obawa, że jesteśmy już rozpoznani. Siatka konspiracyjna była bardzo dobrze zorganizowana i mieliśmy wcześniej informacje o zamierzeniach okupanta. Ptzy wódce Niemcy często tracili kontrolę nad swoim zachowaniem i w ten sposób często zdobywaliśmy informacje o niemieckich zamiarach. W związku z tym czuliśmy się stosunkowo bezpiecznie. Inicjatywa należała do oddziałów AK. Niemcy im bliżej było lata 1944r. tym bardziej ściągali swoje posterunki do większych miejscowości. Zaopatrywali swoje posterunki w żywność i amunicję raz na tydzień, czasami rzadziej. Z tych powodów nie było konieczności bardzo częstej zmiany miejsca postoju. Początkowo z bronią było kruczo, dość trudno było też z amunicją, nie dostawaliśmy też żadnych zrzutów z Angli. Stosunki z partyzantką radziecką były początkowo zupełnie poprawne. Później, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Polską, stosunek partyzantki radzieckiej do nas zmienił się. Początkowo gdy jakiś oddział przechodził przez teren opanowany czy to przez partyzantkę polską czy radziecką wymieniano hasła. Potem te stosunki się popsuły i to z winy partyzantki radzieckiej. Próbowali otaczać i rozbrajać oddziały AK, nie zawsze się to udawało. Dochodziło do potyczek. Ustalono jednak później obszary których nie należało naruszać. Nasz oddział działał na terenie powiatu mołodeckiego, był to teren najbliższy granicy polsko-radzieckiej z 1939r. Już w 1944r. starcie z partyzantką radziecką nie było. Nie było to naszym ce-

lem. Naszym wrogiem byli Niemcy. Wówczas jeszcze traktowaliśmy partyzantkę radziecką jako armię sojuszniczą. Tak to wyglądało. Pierwszą większą bitwą w jakiej uczestniczyłem była walka w Krewie. Był tam posterunek w sile 50 policjantów litewskich zakwaterowanych w szkole. Akcja była uwieńczona pełnym powodzeniem. Trwała dwie godziny. Celem akcji było oczyszczenie terenu. Byłem wówczas żołnierzem pierwszej drużyny "Stefana". W ramach tej samej drużyny 18 IV 1944r. brałem udział w walkach pod Łostojaniami z frontowymi żołnierzami niemieckimi. Nie osiągnięto zaskoczenia, ujadaly wtedy psy wiejskie co obudziło Niemców. Byliśmy bliscy sukcesu gdy od strony Mołodeczna nadjechał pociąg interwencyjny z Wehrmachtem. Niemcy rozpoczęli natarcie. Dowódca brygady zarządził odwrót. W nocy z 12 na 13 V 1944r. brałem udział w walkach w Tołminowie. Załogę Tołminowa stanowił batalion żołnierzy litewskich w sile 320 ludzi. Wchodziłem w skład drugiego plutonu ppor. "Bogdana" jako dowódca czwartej drużyny. Uderzyliśmy w środek wsi. Zaskoczenie było pełne. Akcja w Tołminowie zakończyła się sukcesem. Brygada miała tylko ubezpieczać walkę pod Holszanami i akcję na Tołminowo podjęła na własne ryzyko. W tym czasie brygada liczyła około 300 żołnierzy, a przed rozpoczęciem walki o Wilno około 400-450 żołnierzy. W okresie zbliżania się frontu oddziały zaczęły stosunkowo szybko licznie rosnać. Wiadomość o rozpoczęciu uderzenia na Wilno przyszła do nas dość późno i musieliśmy dojść kilkadziesiąt kilometrów i wprost z marszu wkroczyliśmy do akcji. Naszym zadaniem było zabezpieczyć natarcie na Wilno. Dochodziliśmy do Wilna Czarnym Traktem. Po drodze mieliśmy starcia z oddziałami niemieckimi, które nie stawiały już jednak większego oporu. W domarszu do Wilna byłem dowódcą szpicy przedniej. Szliśmy całą noc. Wcześniej w dzień przekraczaliśmy szosę prowadzącą z Mińska przez Mołodeczno do Wilna, którą Niemcy jeszcze utrzymywali. Dla bezpieczeństwa swych oddziałów Niemcy powycinali las po obu stronach szosy na niektórych odcinkach na odległość 100-200m. Stąd musie-

liśmy przejść szosę tyralierą. Udało się nam ją jednak przeskoczyć. Zostaliśmy ostrzelani dopiero w momencie gdy znaleźliśmy się w lesie po drugiej stronie szosy. Idąc na Wilno spotykaliśmy inne brygady, np. brygadę "Szczerbca". Do Wilna docieraliśmy od strony Kolonii. Walki już trwały. O brzasku na niebie ukazały się samoloty niemieckie. Rozpoczęli nas ostrzeliwać z broni pokładowej, zrzucali bomby. Z Nowej Wilejki jechał niemiecki pociąg pancerny, który zaczął ostrzeliwać oddziały znajdujące się na przedmieściach Wilna. Nasza 13 brygada musiała się wycofywać. Zatrzymaliśmy się najpierw w lesie, w którym zostaliśmy ~~zabombardowani~~ ostrzelani przez samoloty, zdołaliśmy się jednak wycofać przed zbombardowaniem. Wycofaliśmy się następnie do folwarku położonego na skraju lasu, gdzie osłanialiśmy szpital polowy. Tak zakończył się nasz udział w walkach o Wilno. Szpital, który osłanialiśmy znajdował się w Szwajcarach, a wieś do której się wycofaliśmy nazywała się Doubiany. Przebywaliśmy tam około 10 dni. W tym czasie toczyły się pertraktacje naszego dowództwa z dowództwem radzieckim na temat włączenia nas do walki. Zaczęliśmy się formować w regularne wojsko podporządkowane operacyjnie dowództwu radzieckiemu. Wyglądało na to, że rozmowy zakończą się pozytywnie. Czekaliśmy na ich rezultat. Na zwołaną na 17 VII odprawę dowódców "Nietoperz" /dowódca brygady/ nie wyjechał wcześniej, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo. Przyjechał po niego z dowództwa radzieckiego samochód by było szybciej, dowódca uznał jednak, że pojedzie konno na przełaj. Jadąc zauważył niepokojący ruch. Uciekający z polskiej osłony żołnierz powiedział, że wszyscy na odprawie zostali aresztowani. "Nietoperz" wrócił do brygady i zarządził pogotowie marszowe. Szybko pozbieraliśmy się i o zmierzchu wyruszyliśmy do Puszczy Rudnickiej. Szliśmy przez całą noc. Na drodze natrafialiśmy na posterunki radzieckie, liczące 10-15 żołnierzy. Nie utrudniali oni nam marszu. Rano z nisko lecącego radzieckiego samolotu nawoływano nas do powrotu i nie kiero



-wania się do Puszczy Rudnickiej. Do puszczy weszliśmy już dość późnym rankiem. Gdy maszerowaliśmy lasem ze wszystkich stron słyszeliśmy ruchy pojazdów pancernych. Przeprowadziliśmy się przez rzekę. W pewnym momencie dołączył do nas mjr. "Jarema" - inspektor zgrupowania. Opowiedział nam, że brygada przy której był została rozbrojona a on wydostał się tylko podstępem. Dowódca zakomunikował, że jeśli ktoś z żołnierzy chce wrócić do domu to od tej chwili może to uczynić bez żadnych konsekwencji. Ci, którzy chcą się przedzierać dalej do Warszawy mają przejść na drugą stronę drogi. Wszyscy jak jeden żołnierz przeszli na tamtą stronę drogi. Był to wzruszający moment. Zarządzono zakopanie ciężkiej broni maszynowej, pozbycie się taborów i koni, zamaskowanie się do wieczora. Po jakimś czasie usłyszeliśmy strzały. To oddział NKWD zaatakował mjr. "Jarema", który miał przestrzeloną rękę, jednak zdołał uciec. Nagle zobaczyliśmy żołnierzy radzieckich. Poderwaliśmy się i zaczęliśmy biec w przeciwną stronę. Okazało się jednak, że tam również są żołnierze radzieccy. Zostaliśmy otoczeni. Kazano nam złożyć broń. Był to bardzo przykry moment. Nie było jednak wyjścia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie mamy żadnych szans. Po złożeniu broni wyprowadzono nas na drogę, przeprowadzono wstępną rewizję i zaczęto nas prowadzić. Nie wiedzieliśmy oczywiście w jakim kierunku ani w jakim celu. Było to chyba 18 VII 1944r. Po drodze mieliśmy kilka rewizji. Były próby ucieczek, nie wszystkie się powiodły. Złapanych bito. Przyrowadzono nas do Miednik. Tam urządzono obóz dla żołnierzy AK. Był on otoczony drutem kolczastym nawiniętym na "kozły", w narożnikach ustawieni byli żołnierze radzieccy z karabinami maszynowymi. Na terenie obozu były resztki niemieckich baraków. W Miednikach byliśmy do końca lipca. Parę razy próbowano nas namówić do wstąpienia do armii Berlinga. Za każdym razem domagaliśmy się kontaktu z naszym dowództwem. Agitował nas pułkownik w polskim mundurze, ale bardzo słabo mówił po polsku. Podobno nazywał się Soroka. Był również Putrament. Robiono nam oczywiście duże nadzieje. Jak myślę w Miednikach znalazło

się ogółem około 7 tysięcy żołnierzy wileńskiej AK. Byli to żołnierze z różnych brygad. Na terenie obozu nie było żadnej studni ani prycz. Spaliśmy pod istniejącymi jeszcze dachami niemal wprost na ziemi. Warunki były zupełnie polowe. Tuż przy bramie ustawiony był duży kocioł z kawą zbożową, czy czasami z Herbata, którą można było czerpać do picia. Posiłki, które dostawaliśmy były przygotowywane poza obozem i przynosili je wyznaczeni ludzie. Nie było się gdzie umyć. Jeżeli chodzi o sanitariaty to był wykopany duży rów, nad którym były ułożone żerdzie z oparciem. Pamiętam zabawną historię kiedy już jeden dół był wypełniony. Wykopano następny blisko za tym pierwszym patrząc od bramy. Pierwszy dół lekko przysypano ziemią. Kopiający w drugim dole nagle zaczęli się śmiać. Zrobiło się zbiegowisko, pozostawiając wolną przestrzeń na wprost bramy. By ich uspokoić od bramy zaczęło biec dwóch żołnierzy radzieckich. Wykorzystali oni oczywiście wolną przestrzeń na wprost drugiego rowu. i wpadli po pachy do świeżo zasypanego rowu. Śmiechu było co niemiara. Po wizytach Soroki i Putramenta rozdano zeszyty w celu wpisania się ochotników do armii Berlinga. Zaskakująco dużą ilość wpisała się, z tym że jak się potem okazało były to nazwiska zmyślone, wręcz nieprzyzwoite. Soroka agitował stojąc na podwyższeniu z beczek. My zaczęliśmy krzyczeć "w łep go kamieniem!". On wtedy zagroził że zostaniemy wywiezieni na specjalnie ciężkie roboty. Chórem odpowiedzieliśmy: "to pojedziemy". Na tym agitację zakończono. Około 100 partyzantów wpisało się jako chętni do armii Berlinga. Wyprowadzono ich z obozu. Za bramą poczęstowano ich rybą, chlebem. Miało to służyć jako zachęta dla następnych. Wyprowadzono ich do wsi Miedniki i zakwaterowano w jednej ze stodół. Rozdano im nawet broń. Mieli własną wartę na noc. Okazało się, że 70% uciekło, wtedy pozostałych przyprowadzono z powrotem do obozu. W końcu lipca zaczęto nas wyprowadzać z obozu w grupach po 50 osób. Na zewnątrz obozu dokonywano rewizji. Następnie zaprowadzono nas na pobliską kotlinkę, z dwóch stron otoczoną drogą. Na wzniesie-

niach ustawione były stanowiska karabinów maszynowych. Po drugiej stronie drogi było dużo miejscowej ludności z paczkami żywnościowymi. Rosjanie nie zgadzali się na podawanie paczek. Gdy jednak wartownik nieco się oddalał ktoś podbiegał z paczką, rzucał ją. I tak je zdobywaliśmy. Wartownicy na szczęście nie używali broni. Na polanie gromadzono nas chyba do południa, potem ustawiono czwórkami i zaczęto prowadzić. Nie wiedzieliśmy gdzie i w jakim celu. W czasie przemarszu śpiewaliśmy pieśni patriotyczne. Przechodziliśmy przez różne miejscowości. Ludność zza płotów przerzucała nam żywność /chleb/. Pamiętam kościół otoczony murem. Zza tego muru rzucono nam chleb. Wszystkie rzucone nam produkty łapaliśmy. Tak dotarliśmy do stacji kolejowej Kiena, leżącej na trasie Wilno-Mińsk. Na torach stał pociąg towarowy z zadrutowanymi oknami. Kazano nam wsiadać do wagonów. Wagony były niewielkie /20 tonowe/ a nas umieszczano po 50 w wagonie więc było ciasno. Na zewnątrz wiązano drutem kolczastym zasówy na drzwiach, ta że nie było możliwości otwarcia. W tym czasie byliśmy już bardzo zawszeni. Mimo rewizji ktoś zdołał jednak przemyścić nóż. Zaczęliśmy nim natychmiast wycinać otwór w podłodze. Niestety deski były dość grube. Skrąbaliśmy dziurę wszyscy na zmianę. Nasz wysiłek zakończył się sukcesem. W stosunkowo krótkim czasie wycięliśmy otwór w podłodze wagonu. Pod wieczór pociąg ruszył. Za chwilę nadleciały niemieckie samoloty, które rozpoczęły ostrzeliwanie i bombardowanie. Pociąg stanął w wąwozie. Na szczęście bombardowanie było nieskuteczne. Bomby nie trafiły w pociąg. Jednak staliśmy jeszcze przez jakiś czas. Ruszyliśmy o zmierzchu. W tym czasie z jednego z wagonów, który wcześniej zdołano otworzyć, zaczęli uciekać partyzanci. Strażnicy zaczęli strzelać z pepesz. Cieszyli się, że trafiali w uciekających. Jak się potem okazało nie było to zgodne z prawdą. Uciekający mieli ze sobą worki od paczek. W momencie rozpoczęcia ostrzału rzucaли te worki. Wyglądało to tak jakby padał człowiek. Ucieczka zakończyła się powodzeniem, gdyż nikogo chyba nie złapano. Po tym incydencie pociąg ruszył

dalej. Przed wyjazdem dostaliśmy chyba jakąś konserwę rybną albo śledzia, suchary ale nic do picia. Po dość słonych rybach jechaliśmy bez picia przez całą noc. Pamiętam jak przejeżdżaliśmy przez Mołodeczno. Dworzec kolejowy był bardzo zniszczony. Stacja była zbombardowana. Konstrukcje stalowe były powyginane. Pozwolono nam chyba tylko na nabranie wody i pojechaliśmy dalej. Otwór w podłodze naszego wagonu wykorzystywaliśmy do załatwiania się. Siadaliśmy też wokoło niego i przez dziurę wyrzucaliśmy wszy zdejmowane z naszych ubrań. Po jakimś czasie wyłamaliśmy też drut kołczasty w oknie. Okno służyło też zresztą jako miejsce przez, które można się załatwić. Po jedzeniu, które nam dano dostaliśmy biegunki. Z tego powodu tuż przed Mińskiem był przykry wypadek. Jeden z kolegów załatwiał się przez okno /miał rozwolnienie/. W tym czasie ~~wartownik~~ wychylił się wartownik. Został oczywiście obryzany. Nie namyślając się długo strzelił raniąc śmiertelnie naszego kolegę. Został on pochowany w rowie przed Mińskiem. Jechaliśmy chyba trzy dni. W pewnym miejscu mieliśmy bardzo przykre odczucie. Noc była bardzo ciemna. Nasz pociąg jechał kawałek do przodu to znowu cofał się do tyłu. Myśleliśmy, że cofają nas gdzieś na bocznice. Skojarzył nam się z tym Katyń. Potem przez dłuższy czas staliśmy w miejscu. Gdy ruszyliśmy z miejsca zapomnieliśmy jakoś o tym nieprzyjemnym wrażeniu. Tej albo następnej nocy przyjechaliśmy do Kaługi. Pociąg zatrzymał się otworzono nam drzwi i kazano wysiadać. Ustawiono nas czwórkami. Okazało się, że eskorta jest bardzo nieliczna. W czole kolumny stanęła orkiestra. Zaczęto grać marsza, nie wiem nawet czy to nie był Mazurek Dąbrowskiego. Przeprowadzono nas do koszar, które były puste. Byliśmy zaskoczeni tą odmianą. W koszarach pozostawaliśmy przez trzy dni. Następnie zaczęli nas wypytywać o stopnie wojskowe, przebieg służby itp. Po trzech dniach poprowadzono nas do łaźni. W pierwszym pokoju rozbieraliśmy się. Golono nas, smarowano przeciwko insektom. Po wejściu do łaźni i umyciu się wychodziliśmy innymi drzwiami. Przygotowane było dla nas czyste

radzieckie ubranie wojskowe. Byliśmy tam wszystkim bardzo zaskoczeni. Niewiedzieliśmy co robić, ubierać się czy nie. Nie było jednak innego wyjścia. Ubraliśmy się, przyprowadzono nas następnie do koszar. Przydzielono nam stałą radziecką grupę do dowodzenia. Zaczęto nastraktować tak jak wojsko. Dostaliśmy broń ćwiczebną. Rozpoczęto codzienne ćwiczenia musztry. W pewnym miejscu zrobiono coś w rodzaju trybuny na której stał radziecki oficer w stopniu pułkownika, który jakby odbierał defiladę. Potem kazano nam biec. Goniono nas tak długo, aż nam tchu brakowało. Po południu przeprowadzano z nami zajęcia przygotowujące do złożenia przysięgi obowiązującej w armii radzieckiej. Trwało to około czterech tygodni. My oczywiście umowiliśmy się, że nie złożymy przysięgi. Nawet gdy w pierwszym szeregu powtarzano rotę przysięgi to w kolejnych szeregach dawano wyraz dezaprobaty. Odebrano nam broń ćwiczebną i nowe ubrania wojskowe, dając w zamian stare, poszarpane ubranie frontowe. Poprowadzono nas na stację. Ponownie załadowano nas do wagonów towarowych. Pociąg wyjechał z Kaługi 15 albo 16 września 1944r. W Kałudze znaleźli się jedynie szeregowi żołnierze Armii Krajowej z Okręgu Wileńskiego. Nie było z nami dowódców. Byli to przeważnie młodzi ludzie. Wydzielono nawet małoletnich, których Rosjanie traktowali nieco lżej. Traktowano nas w miarę poprawnie. Przy wyjeździe z Kaługi powiedziano nam, że jedziemy na specjalnie ciężkie roboty. Przywieziono nas do jakiejś miejscowości, jak się potem okazało było to Sieredniakowo. Ponownie usawiono nas czwórkami i ruszyliśmy. Przyprowadzono nas na polanę w lesie. Sieredniakowo położone jest w rejonie Jegoriowska na wschód od Moskwy. Gdy przyprowadzono nas na polanę w lesie to powiedziano nam, że tu będziemy mieszkać. Nie mieliśmy żadnych narzędzi ani materiałów, z których można by zrobić jakieś pomieszczenia mieszkalne. Wobec tego poprowadzono nas do pobliskiego lasu osikowego. Zaczęliśmy zbierać suche gałęzie, mniejsze drzewa, paproć. Z paproci robiliśmy powrozy służące do wiązania całej konstrukcji szkieletu

Sciany naszych "domów" wykonane były z paproci i gałęzi, z jednej ~~sk~~ strony pozostawiliśmy otwór na wejście. Przed zmierechem wyznaczono jeszcze tzw. linie przednią i tylną po których chodziła warta. Stanowili ją żołnierze radzieccy. Co ~~jakikxxx~~ parę metrów paliło się ognisko oświetlając teren i ułatwiając pilnowanie. W tym czasie było już bardzo zimno. Mróz był kilku stopniowy. My byliśmy tylko w drelichach i wytartych starych ubraniach. W naszych szałasach nie było drzwi, więc warunki były fatalne. Na szczęście mieszkało nas po około 50 osób w jednym szałasie, tak że było bardzo ciasno ale i cieplej. Było tak ciasno, że jeżeli ktoś chciał się obrócić na drugą stronę to już nie pasował do układu. Obroty trzeba było robić na komendę. Wtedy mogło się znaleźć miejsce. Często i tak strona zewnętrzna bardzo marzła. Wtedy nie pozostawało nic innego jak wyjść do ogniska i trochę się ogrzać. Ta czynność tak pochłaniała, że nie słyszało się nawet jak pilnujący żołnierz dobiegał i uderzał kolbą karabinu w plecy. Wtedy trzeba było wracać z powrotem do szałasu. W szałasach przebywaliśmy do połowy listopada kiedy przeprowadziliśmy się do wybudowanych przez nas ziemianek. Na ziemi leżało już, wtedy sporo śniegu. Wewnątrz ziemianki temperatura były znośna. W środku stała blaszana beczka z wyciętym otworem na wkładanie drewna. Na zewnątrz była rura odprowadzająca dym. Po podłożeniu drewna do beczki rozgrzewała się ona do czerwoności. Ci co byli bliżej nie mogli wytrzymać od gorąca, natomiast ci co byli dalej mieli temperaturę zupełnie znośną. Prycze w ziemiankach były piętrowe. Wykonane były z żerdzi a wyłożone liśćmi paproci. Sypiało się w ubraniu, w którym chodziło się do pracy. Nie było żadnych zmian. Nie mieliśmy też żadnych kocy. W ~~yt~~ tym w czym się żyło w tym się i spało. Za przykrycie służył płaszcz. Od samego początku chodziliśmy do lasu wycinać drzewa. Początkowo norma wynosiła 5,6 m<sup>3</sup> na dwójkę, która dostawała jedną zwykłą piłę i jedną siekierę. Najpierw trzeba było ściąć drzewo, potem obciąć gałęzie i pociąć pień na kłocę dwu i jednometrowo-

we, gałęzie spalić natomiast drewno należało ułożyć w sągi. Każdorazowo drewno było odbierane przez tzw. dziesiątnika - Rosjanina, który na kilku rzędach od góry zaznaczał niedopałkiem z ogniska znak /kreskę lub czarny krzyżyk/. Swiadczyło to o tym, że to drzewo zostało już wcześniej nacięte. Norma  $5,6 \text{ m}^3$  trwała krótko. Szybko nam wytłumaczono, że to jest kobieca norma, a my powinniśmy wykonywać  $8 \text{ m}^3$ . Pilnowano żeby tą nową zwiększoną normę wykonywać. W momencie kiedy ją osiągnięto podwyższono nam normę na  $12 \text{ m}^3$ . Nie starczało nam sił by taką pracę wykonać. Większość z nas nie była w ogóle przygotowana do tak ciężkiej pracy fizycznej. Poza tym dostawaliśmy jedzenie nie odpowiadające kalorycznie tak dużemu wysiłkowi. Wystarczało ono może na to by siedzieć w szalasi i nic nie robić, a nie pracować. Jak sobie przypominam dostawaliśmy chyba 500 g. chleba dziennie. Ranna i wieczorna porcje były mniejsze na obiad była większa. Chyba 250 g. chleba na obiad a po 125 g. na obiad i kolację. Chleb był szalenie wilgotny. Rano dostawaliśmy też jakąś zupkę, na obiad zupę i drugie danie to przeważnie było purre. Drugie danie to dużo powiedziane. Było tego dwie łyżki stołowe równo z brzegiem. Na kolację do chleba była również jakaś zupa. Zupa była prawie przezroczysta. Jeżeli to była kartoflanka to ziemniak był niedogotowany. Wypijało się pierw zupę nie używając łyżki a potem stukano się palcem w dno miski i ziemniak wpadał wprost do ust. Naczynia, miski mieliśmy wykonane z puszek po konserwach. Po trzymiesięcznym pobycie część z nas zaczęła się słać z wycieńczenia. W lesie trzymano nas tak długo aż wykonaliśmy normę. Osobiście kilka razy byłem w lesie chyba do godziny dwunastej. Nie widziałem już wyjścia z tej sytuacji. Był taki moment kiedy fińskim nożem przeciąłem sobie spodnie i nadciąłem udo mówiąc, że to siekiera omknęła się o drzewo, uderzyła w udo i przecięła je. Na punkcie sanitarnym lekarz rosyjski oczywiście powiedział, że to jest sabotaż, że zrobiłem to naumyślnie. Dał mi jakiś przyłepiec i na drugi dzień musiałem iść z powrotem do pracy. Zyskałem tylko tyle, że nie poszedłem do pracy tego dnia. Było to jednak jakieś krótkie

wytchnienie. Zimą śniegi w lesie były bardzo obfite. Było to też duże utrudnienie przy pracy. Nogi mieliśmy często mokre i przemarznięte. Nosiliśmy takie twarde filcowe wojski. Były momenty kiedy przychodziło się dość późno do ziemianki i trzeba było zaraz wstawać i iść ładować drewno na wagony. Ci sami co piłowali drzewo w dzień potem w nocy ładowali je na wagony. Drzewo to było wywożone do Moskwy, gdzie ~~nie używano~~ używano je jako opał. Praca była niesamowicie ciężka, w związku z tym coraz większa grupa nie mogła wykonać normy. Zrobiono przegląd. Ja należałem do tych słabszych. Gdy trzeba było wyjść w nocy ładować drewno na wagony to słańiałem się i musiałem się podpierać ścian by wyjść z ziemianki. Na przeglądzie zostałem ostatecznie zakwalifikowany do źle odżywionych. Na wyrąb lasu wywieziono około 4 tys. ludzi. Podzieleni byliśmy na cztery grupy. Każda tworzyła jakby oddzielny obóz. Byliśmy osobno otoczeni. Wyjść oczywiście nie było można. Jedynie z pracy i do pracy i to pod nadzorem. Dla tych źle odżywionych norma była mniejsza. Za zadanie mieliśmy oczyścić teren po wyrębie, wyciąć cienkie drzewa. W tej grupie byłem przez miesiąc albo półtora miesiąca. Miałem tam przygodę. Chciałem wbić siekiere w pniak. Nie popatrzyłem czy trafiłem. Myślałem, że tak. Gdy ~~nie~~ trzeba było wracać do obozu okazało się, że ja nie mam siekiery. Szukałem wszędzie ale nie mogłem jej znaleźć. Po powrocie liczone wszystkie narzędzia. Był ~~wyznaczony~~ wyznaczony człowiek, który liczył piły i siekiery. Jeśli ktoś nie oddał narzędzi meldował to zaraz Rosjaninowi, a ten robił dochodzenie co się stało. W tym czasie naszą grupą 50 osobową zajmował się ppor. Mukin, przyszedł on niedawno. Był bardzo srogi. Wykańczał nas psychicznie. Kilka osób nie wytrzymała nerwowo. Jeden powiesił się w łaźni, inni podkładali przy wóźce drzewa i tracili życie. Byłem bardzo przerażony, że nie mam siekiery. Spodziewałem się jakiejś surowej kary lub zamsty naszego nadzorcy. Mukin wezwał mnie do siebie i spytał co się stało. Powiedziałem mu tak jak to faktycznie wyglądało. Kazał mi znaleźć siekiere i proponował taki układ, że jeśli znajdę siekiere on da mi trzy dni wolne



od pracy. Propozycja była fantastyczna, ale skąd wziąć siekiere? Nie mogę jej przecież wziąć koledze bo i tak wyszło by to na jaw. Widziałem jednak, że przy tartaku w noc przy ognisku siedzi stróż. Miał on jednak karabin. Palił ognisko więc musiał mieć siekiere. Postanowiłem ją zdobyć. Niektóre miejsca w płocie można było przejść rozsuwając żerdzie w płocie, które na dole nie były przybite gwoździami. Żerdzie powracały na swoje miejsce i z zewnątrz przejście nie było widoczne, nie budziło więc żadnych podejrzeń. Postanowiłem tamtędy przejść. Doszedłem do ogniska i widzę, że staruszek śpi. Między nogami trzyma dubeltówkę a w pniak wbita była siekiera. Bezszelestnie wyciągnąłem ją z pniaka. Zaczynam się cofać. Jestem coraz bardziej zdenerwowany. W końcu zacząłem się czołgać. Gdy odszedłem trochę dalej nie wytrzymałem już nerwowo i zacząłem biec. Na szczęście staruszek nie obudził się. W ten sposób zdobyłem siekiere. Mój nadzorca dotrzymał też naszego układu. W tym okresie zachorowałem na świerzb. Zrobiono przegląd. Trafiłem do izolatki. Chorzy byli oddzieleni od pozostałych ludzi. Mieliśmy swój sprzęt, swój oddzielny teren pracy. Lekarzem w obozie był Walentyń Kuchunow, pochodził on spod Lwowa i przed wojną studiował medycynę /ale nie skończył studiów/. Pewnego dnia wszedł on do ziemianki w której mieszkałem i powiedział, że czyni ze mnie "niewalnego". Był to człowiek odpowiedzialny za utrzymanie porządku w ziemiance i do smarowania chorych na świerzb. Do obowiązków należało też wychodzenie poza teren obozu po siarkę i dziegieć. Przyjąłem to polecenie ochoczo, gdyż była to szansa oderwania się od ciężkiej pracy, w której nie mogłem sobie poradzić. Wieczorem smarowałem chorych na świerzb. Robiło się to w ten sposób: ustawiałem chorych w dwuszeręgu. Pierwszy szereg wychodził krok naprzód, potem pędzłem z urwanego strzępa płaszcza nakładałem im na plecy dziegieć z siarką. Następnie stojący w drugim szeregu rozcierali im to po plecach. Potem w tył zwrot i następowała zamiana. Przeważnie trzykrotne dokładne smarowanie pozbawiało świerbu. Po

smarowaniu prowadzono chorych do kąpieli i na przegląd. Zawsze kilka osób wracało do normalnej pracy. Zastanowiliśmy się i doszliśmy do wniosku, że trzeba tylko raz smarować plecy chorych, by był ślad po smarowaniu a pozostały dziegieć z siarką wylewać. Odsetek wyleczonych w ten sposób bardzo spadł. Ja sam miałem świerzb prawie przez miesiąc czasu. Miechunow domyślił się naszego podstępu. Powiedział do mnie żeby postarał się szybciej wyzdrowieć i wtedy przeniesie mnie do punktu sanitarnego jako sanitariusza. Wysmarowałem się trzy razy porządnie i oczywiście pozbyłem się świerzbu. W punkcie sanitarnym byłem około dwóch miesięcy, może trzy. Praca polegała na tym, że chodziłem do Sieredniakowo po lekarstwo. Lekarstw nie było dużo. Kilka "specyfików" musiało wystarczyć. Byłem również odpowiedzialny za utrzymanie porządku w punkcie sanitarnym i za przynoszenie lekarzom jedzenia. Przynosiłem jedzenie rosyjskiemu lekarzowi. Nazwiska jego nie pamiętam. Był on w stopniu kapitana gwardii. Był to człowiek bardzo kulturowy i współczujący nam. Jak przynosiłem mu jedzenie kazał nalewać sobie a to co zostało mogłem zjeść. Zupa jego była bardziej gęsta i tłusta. Była brana z dna kotła. Ja tam przybrałem na wadze, odżywiłem się. Wygladałem już zupełnie przyzwoicie. Wyłączenie z grupy źle odżywionych i trafienie do sanitariatu było dla mnie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Po jakimś czasie Miechunow został przeniesiony. Na jego miejsce przyszła Sonia Tatarka. Ja dalej pełniłem swoją funkcję sanitariusza. Po jakimś czasie Sonia kazała żebym sypiał w jej ziemiance. Zgodziłem się na to, ale w stosunku do niej miałem jakieś uprzedzenie. Była to kobieta szalenie brudna. Po dwóch tygodniach zostałem zastąpiony innym mężczyzną. Była to również kobieta bardzo biedna. Wczesną wiosną w obozie zapanowała dyzenteria. Chorych natychmiast umieszczono poza obozem. Wśród nich było pięć przypadków bardzo ciężkich. Po trzech dniach nie byli oni w stanie wstać o własnych siłach. Wzięto mnie jako sanitariusza do doglądania chorych na dyzenterię. Osoby z ciężkim zachoro-

waniem zostały przeniesione do pobliskiego szpitala kołchozowego. W szpitaliku były cztery małe salki. Budynek był drewniany. Hol został zajęty przez naszych pięciu chorych. W drugim budynku mieszkała lekarz, wdowa po majorze. Zostałem przeniesiony do tego szpitala by doglądać chorych. Miałem mierzyć temperaturę wszystkim chorym jacy znajdowali się w szpitaliku. Stan ich dosyć długo się nie poprawiał. Jednego czy dwóch chorych przewieziono do Jegoriewska, a mnie zawiadomiono że jestem odwołany do pierwotnej grupy, do cięcia drzew. Byłem ~~zdrzutany~~ zdrzutany. Poszedłem do pani doktor, która była jednocześnie kierownikiem szpitala. Napisała ona odręczną karteczkę do kierownika naszego obozu, w której oznajmiała że jeżeli zabierają niewalnego /czyli mnie/ ze szpitala to ona wyrzuci chorych na ulicę. Doręczyłem tą kartkę dowódcy. Dowódca kazał przyjść Soni. Była ona oburzona, że bez jej pozwolenia i wiedzy poszedłem do dowódcy. Zapowiedziała jednak, że nie wrócę do pracy ~~przy wyrobieniu~~ w szpitalu. Powodem była ucieczka z mojej grupy pięciu naraz z lasu. Poszli oni do pracy, zaczęli piłować zostawili jednak narzędzia i uciekli. Były takie przypadki. Niektórzy zdołali nawet za trzy dni znaleźć się w Wilnie /jechali pociągiem/. Uciekający zgłaszali się podobno nieraz w Moskwie do Wandy Wasilewskiej. Ona jednak w niczym im nie pomagała. Ograniczała się jedynie do dania im jedzenia. Na tym kończyła się jej pomoc. Ja ponownie wruciłem do pracy w lesie. Mieliśmy już jednak opanowaną technikę "cięcia" lasu. Przychodziło się rano, jednym kłocem wybijało się już uprzednio ścięte i oznakowane. Scinało się plaster drzewa z oznakowanym miejscem i paliło się go w ognisku. Trzeba to było robić szybko, w ciągu godziny. Przychodził dziesiątnik, widział czysty sąg wobec tego znakował go i norma była zaliczona. Jeśli chodzi o ładowanie drzewa do wagonów to nauczyliśmy się też "ładować". Nie załadowywaliśmy całej powierzchni wagonu, a tylko tuż przy drzwiach z jednej i drugiej strony, a trzecią warstwę przy drzwiach wyjściowych. Rosjanie nazywali to "pudełka

od zapałek". Kilka razy poszły takie wagony. Oczywiście sposób załadunku rozniósł się szybko. Zaczęto robić ~~do~~ dochodzenie kto tak ładuje. Nie dało to jednak rezultatu. Jedynie lepiej nas teraz pilnowano. Pojawily się też pogłoski, że Będziemy wracać do Polski. W początkach grudnia 1945r. oświadczone nam już oficjalnie, że wyjeżdżamy. Załadowano nas ponownie do wagonów towarowych i trafiliśmy do ziemianek pod Smoleńsk. Tam trzymano nas miesiąc. Jednak już nie pracowaliśmy. W okolicy były ogromne złomowiska niemieckich i radzieckich czołgów. Dostaliśmy angielskie umundurowanie i buty, zostały nam już tylko radzieckie czapki, z których jednak pozrywaliśmy gwiazdy. Zaczęliśmy w końcu jechać. Do Brześcia przyjechaliśmy 11 stycznia 1946r. W Terespolu natychmiast przejęło nas UB. Przewieziono nas do Białej Podlaskiej. Gdy byliśmy w obozie w Sieredniakowie zezwalano nam na utrzymywanie korespondencji z rodziną. Wśród Rosjan którzy się nami opiekowali w obozie byli i ludzie serdecznie nam oddani, np. Pietrow- wysoki blondyn z Syberii. Życzliwy był również i Walentin Mieczunow, bardzo pozytywnie oceniam wspomnianego kapitana gwardii, który nigdy ~~ni~~ nie dał do zrozumienia, że widzi u kogoś "naciąganą" chorobę. Do Polski byliśmy przewożeni bez jakichkolwiek dokumentów. W Białej Podlaskiej przygotowane były pomieszczenia PUR-owskie, gdzie mogliśmy dostać posiłki, jednak ludność Białej Podlaskiej zabrała nas do mieszkań. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Chyba w okresie dwóch tygodni trzeba się było zgłosić do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Tam robiono zdjęcia, zakładając uprzednio ~~na~~ tabliczkę z numerem na pierś, spisywano personalia, wydawano zaświadczenia i wtedy można było jechać dalej. W PRL nie byłem aresztowany, jednak w pracy byłem pilnowany przez dwóch woźnych /agentów bezpieczeństwa/. Pracowałem w urzędzie wojewódzkim we Wrocławiu, w latach 50-ych złożyłem wypowiedzenie z pracy w urzędzie. Przypomniano mi wtedy, że byłem żołnierzem Armii Krajowej i mimo iż miałem już umówione miejsce pracy spowod-

wano, że nie zostałem przyjęty. Przez pół roku pozostawałem bez pracy. Był to 1954r. Potem pracowałem w Okręgowym Przedsiębiorstwie Geodezyjno-Kartograficznym we Wrocławiu. Pracowałem tu do emerytury.

spisał Krzysztof Tarka.

© ARCHIWUM WOJSCOWE